

— Jeszcze nie! — odpowiedziała kobieta stojąca w progu, spoglądając z miłością na męża.

Była to pani dworu, mimo czterdziestu kilku lat życia z czarnymi splotami bujnych włosów, dość znacznej tuszy, o rękach rasowych, twarzy cokolwiek pociągłej, przedobrych oczach matki i żony, z grecka skrojonym profilem kształtne nosa. Domowy szlafroczek, ciemnej barwy, obcisłe skrojony, podnosił niezwykle urok tej matrony; była z niej wcielona dobroć anioła, surowość klasztornej cnoty i wierności.

— Aniela i Zosia w pokoju? — spytał po chwili pan Grodzki.

— Udały się już na spoczynek — odpowiedziała kobieta, wchodząc do wnętrza pokoju.

— Widzisz, Maniu! — zaczął Grodzki, nerwowo potrząsając brodą — Rozwazałem długą chwilę, co wypada zrobić. Wprawdzie czas na to jeszcze wielki, abyśmy mogli opuścić dwór i schronić głowy w bezpieczne miejsce, ale tego stanowczo nie możemy robić. Rzucić dwór, oddać go na pastwę w pierwszym rzędzie chłopów ruskich, wrogo nam usposobionych, z drugim soldatów rosyjskich, rabującą na wszystkie strony, znaczyłoby to skazać go na zupełną zagładę. Tu kolebka moich dziadów i zostać trzeba.

— Ah! — westchnęła kobieta — Opatrzność nie opuści nas, mimo, że serce moje przeczuwa coś niedobrego.

— Moja Maniu — rzekł w odpowiedzi Grodzki — wojsk austriackich nie mamy się co obawiać. Zresztą w razie odwrotu armii rosyjskiej, wojska posuwać się będą głównym traktem, przeto nie spodziewam się, aby falanga Rosyan szła temi drogami.

Rozmowę Grodzkich przerwał tętent kopyt koni.

— Pewnie znów ordynans jaki oznajmi zajęcie dworu na kwaterę.

— Nie, to Wacek! — odezwała się pani Grodzka, nadsłuchując.

Za chwilę wpadł z impetem syn, obłożony dałąką drogą, z dubeltówką przewieszoną przez ramię.

— Ojczy, matko! Wielka nowina!

— Czemużeś, waryacie — zgromił go Grodzki — dubeltówkę brał ze sobą. Nie wiesz o przepisach wojennych? Gdyby cię schwytano z bronią w ręku, zginalbyś.

— Jechałem, ojczy — usprawiedliwiał się Wacek — drogą leśną do Maniewicz.

— Dobrze, ale tam patrole rosyjskie.

— Nikogom nie widział! Zresztą dubeltówka łamana, łatwo ukryć pod bluza.

— Cóż tam w Maniewiczach słychać? — spytał obcesowo Grodzki.

— Nic! — odparł syn — ostatnie pociągi odjechały. Dużo ludności z pobliskich wiosek. Z naszej wioski pop z rodziną, właściciel dworu, dzierżawca tartaku jechali w stronę dworca. Spotkałem ich na drodze. Dowiedziałem się od rannych i oficerów, że armia rosyjska cofa się od strony Kowla. Właściwie odwrót czuć już na traktach. Przejżdża tysiące furgonów, treny, wozy amunicyjne, artyleria. Słyszałem wyraźne echa wystrzałów armatnich. A wie mama, kto ściga Moskale? — rozentymowany chłopiec dodał na końcu — Niech tato zgadnie!

— Cicho bądź, nie drzej się! — zgromił Grodzki.

— Otóż Legiony! — dorzucił Wacek, podnosząc tonację głosu, która zdołała przywabić kładące się do snu siostrzyczki.

W białych szlafroczech, wysunawszy się z panieńskiego pokoju, czarne główki ciekawe wystawiły przez otwarte drzwi biblioteki, aby ciekawość kobiety zaspokoić.

— Legiony! — powtórzył z naciskiem Wacek, podnosząc rękę, jak kaznodzieja do góry.

Równocześnie siostry poczęły szeptać ze sobą o znaczeniu tego słowa, które z takim naciskiem wypowiedział Wacek. Szmer ten zwrócił uwagę pani Grodzkiej, która zgromiwszy ich za niewłaściwość zachowania, podsłuchiwanie rozmowy rodziców, giestem ręki nakazała udanie się na spoczynek. Ale Grodzki machnął ręką, co miało oznaczać, że mogą pozostać w ich towarzystwie.

Wacek rozpałił się w opowiadaniu. Z ust jeńców, rannych żołnierzy rosyjskich Polaków, dowiedział się o Legionie, śmiało nacierającym na Moskali i ścigającym go w głąb puszczy wołyńskiej. W miarę tegoż opowiadania rosła otucha w sercach rodziny. Grodzki, przysłuchując się synowi, wspominał o dziadach, życiorysy przed forum rodzinne po raz już może tysięczny wyciągając. — Znikła Grodzkiemu obawa z serca, nastąpiła ufność: że z wolą Boską uda się im znieść najcięższą chwilę, póki się armia rosyjska z tego terenu nie wycofa. Tam za nimi szli bracia, wojsko polskie, które ich

z niewoli rosyjskiej oswobodzi, podczas wojny opieką otoczy.

Zgromadzeni w bibliotece, przyciszoną wiodąc rozmowę, nagle jakby na dany znak spoważniali i przerwali pogawędkę.

— Grzmi! — zauważyła Zośka, szesnastoletni podłotek, istne wcielenie matki.

— Armaty! — szepnął Grodzki, nadsłuchując.

Przebiegały grzmoty dział, walki toczącej się gdzieś o kilkadziesiąt kilometrów daleko się słyszeć przez otwarte okna biblioteki. Cichość nocy i lekki szum lasu przerywały echo detonacji pocisków.

— No — rzekł Grodzki, marszcząc brwi — za kilka dni rozstrzygnie się nasz los. Daj nam panie przetrzymać tę burzę, która obecnie nadciąga.

Mimo zgrozy przyszłych dni rozmowa tegoż wieczora w salce bibliotecznej ciągnęła się do późnej nocy. I tu dobiegły już poprzednio echa wystąpienia Polski orężnej w postaci Legionu; dlatego wiadomość przywieziona przez Wacka zrobiła we dworze niezwykle wrażenie. Równocześnie wiadomość o zupełnym odwrócie Rosyan dodała obecnym otuchy, że niezadługo prawdopodobnie ujrzą polskie zastępy żołnierskie, zwycięsko wkraczające w puszcze Wołynia.

III.

Armia rosyjska cofała się w nieładzie, na całym froncie ściganą przez wojska państw centralnych. Dotarliśmy do Kowla, w borach wołyńskich cofanie to przeszło w ucieczkę. — Drogi przepełnione były uciekającymi trenami, kolumnami wojsk pobitych. Uciekano, gdyż brak amunicji nie pozwalał na powstrzymanie zwycięzcy. — Żołnierz zgłodzony, dostawszysię do lasów, ssał korę drzew dla podtrzymania sił. — Ranni, z nieopatrzonemi ranami, chorzy zostawali w lasach, czekając przybycia zwycięzców.

Wioski, spotykane po drogach odwrotu, zostawały objadane; szarańcza, dostawszysię na bujne łąny, czy sady — zostawiała korzenie i gałązki. Jednakże system podpalania wiosek ustał. Były to bowiem, według ogólnych poglądów, prawowierne wioski, które należało oszczędzać. Zresztą szybkość odwrotu nie pozwalała na zabawianie się w Sodomę i Gomorę.

Traktem Gałuzińskiej szosy toczył się zmiażdżony żelazny walec rosyjski, który miał zgnieść państwa centralne, w przyszłości Zachód. Była to jedna z macek polipa, z odciętymi szponami, cofająca się pospiesznie do kadłuba. Cóż wart polip bez macek? Wysunął je groźnie na zachód, skrępował w śmiertelnych uściskach Galicyę, innym odnóżem docierając ziem poznańskich.

Teraz wraca, cofa się z pokrwawionemi odnóżami. Kadłub wyczerpany, odnóża pocięte. Naród polski odetchnął.

Tuż koło dworu Grodzkich szosą przeciągała część armii. Okrzyki i przekleństwa dowódców mieszały się z głosami rannych, z brzękiem broni, z turkotem wozów, ciężkich jaszczyków i armat. W powietrzu słychać było coraz silniejsze drgawki wystrzałów, rzęgoty karabinów, grzmoty dział.

Dwór bronił się przed zalewem bezkarnej tłuszczy, lawy ludzkiej, wyrzucanej z krateru wojny; czasami wpadali oficerowie, żądając posiłku, napoju; dawano im, odmówić byłoby niebezpieczne, oficerowie milczeli, nie rozpowsiadano o zwycięstwach z mieszkancami dworu. Gorzej było z luźno kroczącymi żołnierzami; maruderzy ci, nie pytając, nie prosząc wpadali do dworu, usiłując zabrać cośkolwiek. — Grodzki, we drzwiach dworu stojąc, rozkazywał służbie dawać posiłek żołnierzom. — W pokojach dworu Wacek z Grodzką wypędzali żołnierstwo, które wpadało przez otwarte okna.

Z wioski przedniejsi przedstawiciele uciekli, częścią z wojskiem, lub ostatnimi pociągami. Pozostało chłopstwo ponure, zamknięte w sobie, patrząc z podejśmą na dwór „Lachów“ — bratając się z żołnierstwem. Nie można ich winić, gdyż ciemni, w tym duchu pod najgłęboką rosyjską wychowani, ale były wypadki, że jedna wieś, mając na czele pijanych kozaków, szła rabować drugą. Dziś ci tych rabowali, nazajutrz przeciwnie.

Pop uciekł, zostawiając opustoszałą cerkiew. — Chłopstwo w miłości dla duszpasterza wtargnęło do plebanii, zabierając pozostałe graty — w przechowanie.

Grodzcy, znając ludność miejscową, chcąc uratować dwór musieli w nim pozostać. Gdy odwrót był już widoczny, chłopstwo służące przy dworze, rzuciło służbę. Pozostali przy dworze tylko najwinniejsi — postanawiając wytrwać do ostatka z dziedzicami.

Wieczór się zbliżał. Sina, mroźna mgła zapadła na ziemię; wicher rozhułał się po lasach, zagłuszając kopyta pędzących jeźdźców. Fala uciekających wojsk przesunęła się poza wieś, potoczyła na wschód. Nastął spokój, jakby po nagłej ulewie, deszcz po uderzeniu pioruna na chwilę przestał padać. Jeszcze pojedyncze krople opadają z chmur. Jeszcze od czasu do czasu przesunął się żołnierz koło dworu, prze-galopował spóźniony jeździec konny.

Dwór, pogrążony w ciemnościach, zdawał się spoczywać. Nie błyszczały okna światłem, nie dochodziły z niego na zewnątrz znaki życia istot ludzkich. Zamknięty, osnuty mgłą, robił wrażenie opustoszałego klasztoru.

Z lasu dał się słyszeć tętent koni. Drogą pośród bagnisk galopowali jacyś jeźdźcy. — Stanęli przed dworem, jeden z nich, zeskoczywszy z konia, odrzuciwszy ramieniem tamującą ruchy ręk kurtkę, kolbą karabinu walić począł w drzwi dworskie.

— Otwierać! — krzyknął groźnie.

Po chwili zabłyśnięcie światła świecy, a z za drzwi dały się słyszeć jakieś szmery i cicha rozmowa.

— Otwierać do pioruna! — krzyknął powtórnie jeździec, tłukąc w drzwi kolbą karabinu.

— A kto, kto tam? — niepewny zapytał głos.

— Polacy!

— Ach, Polacy!

— Legioniści!

— Okrzyki radosne dworu mieszały się z gromkimi głosami jeźdźców.

— Prosimy do środka! — zapraszał Grodzki.

— Prosimy, prosimy! — piskliwie i dzwicznie zapraszały panny.

Grodzka z lichtarzem w ręku, na którym płonęła świeca, postąpiła ku stopniom ganku, równocześnie odwracając głowę w stronę kuchni, zawołała:

— Tekla! Światło do pokoi!

Kilku jeźdźców zsiadło z koni, zostawiając kolegom luźne konie do przytrzymania. Opierali się namowom Grodzkich, nie chcąc korzystać z zaprosin, ale prawie że przemocą zaciągnięto ich do pokojów.

— Pierwsza służba! — wachmistrz zwrócił się do Grodzkiego.

— Służba, nie druźba! — odparł Grodzki — ale posiłek nie zaszkodzi i nie przeszkodzi.

— Moskałe daleko stąd? — zapytał — Kiedy ostatnie oddziały przeszły?

— Dwie godziny będzie!

— Zatem nad Styry! — mruknął do siebie wachmistrz.

Przy kolacji rozmowa toczyła się swobodnie; po wypytaniu się ułanów o ostatnie wypadki, ty-czące się ich służby, musieli odpowiadać na szczegóły dotyczące się Legionów, opowiadać o poszczególnych wypadkach, bitwach, które przechodzili.

— My Beliniacy, ułani! — objaśniał jeden z ułanów pięć piękną, podczas gdy wachmistrz szeroka wiodł dyskusję polityczną z Grodzkim.

— Komu w drogę, temu czas! — huknął wkońcu wachmistrz, żegnając się z gospodarzami. Za nim powstali ułani, wycinając obcasami, dzwoniąc ostrogami przed pannicami, których lica zapłonęły jak róże, lub polne maki.

— Za parę godzin nadciągnie tu nasz sztab! Zależnem to będzie od wywiadów. W każdym razie proszę przygotować kwatery — polecił wachmistrz odchodząc.

— Na koń! — rzucił komendę, rzutem dosięgając rumaka.

Dopiero po odejściu ułanów zawrzało życie we dworze. Grodzki, gładząc wspaniałą brodę kościstymi palcami, doglądał porządków, robionych przez służbę. Zarciło się w kuchni od niewiast, co najprzedniejszy drób szedł do garnków, przygotowania były jakby w wigilię uroczystego święta.

Wacek z parobkiem dworskim, grubym, rozro-słym w plecach jak niedźwiedz Kuba, wybiegli przed dwór na czaty. Rudawa, kędzierzawa głowa Kubu nieustannie wpatrywała się w swojego panicza, wypytując go natarczywie:

— Toć to Legiony?

— A tak!

— A niby co to jest?

— Wojsko polskie...

— To tyle, co to pon dziedzieć czasami opowiadali!

— A juści! — odparł zniechęcony Wacek.

— To dziaduś panicza tyż był takim!

— W sześćdziesiątym trzecim roku.

— To i pewnikiem panicz będzie?

— Jakżeżby mogło być inaczej!

— To i jo będę! — energicznie Kuba się odezwiał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)